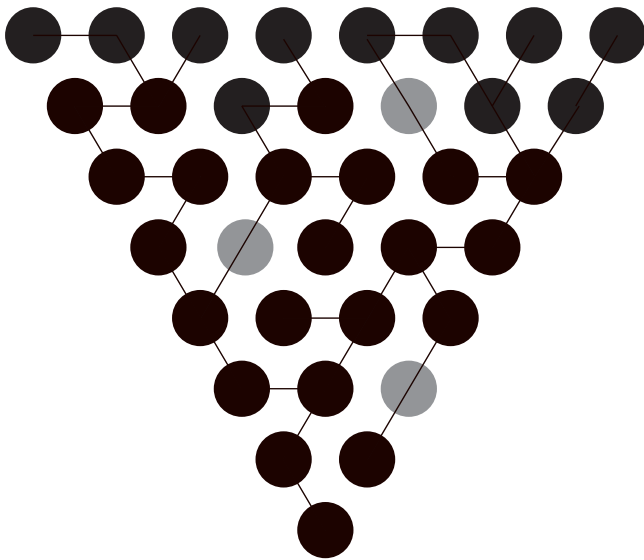


transgeniczna
mandarynka



transgeniczna mandarynka

ZBIÓR OPowiadań

Wstęp

Gdzieś (i zdecydowanie kiedyś) przeczytałem, że na początku był chaos... A może chodziło o słowo? Nieważne.

Jeśli pojawił się już ten chaos i to tajemnicze słowo, to trzecie w kolejce stało poczucie humoru. Skąd ta pewność? To proste. Miało już wszystko, co do szczęścia potrzebne.

Poczucie humoru – niektórzy nazywają je Bogiem – spojrzało na wspomnianych ponurych towarzyszy i wymyśliło... dziobaka!

Zwierzak nie bawił się w żadne konwenanse, których zresztą jeszcze nie było. Przewrócił się szybko na plecki, chrapnął i zaczął śnić. Wyśnił wpierw rzeki i małe, wyjątkowo smaczne ślimaki, które zapełniły taką zielono-niebiską kulę, o której przypadkowo pomyślał.

Obudził się wyraźnie zadowolony z siebie, co było widać po błyszczących oczkach (usta miał zasłonięte dziobem). Klasnął w błoniaste łapki i chciał dać nura do wody, gdy potknął się o jakiś korzeń.

— Grrr! Grrr! — zawołał, spoglądając na jadowite ostrogi przy kostkach, które zahaczały dosłownie

o wszystko. Podumał nad ich zastosowaniem, zmęczył się, zdrzemnął i wyśnił... człowieka.

Człowiek nie dał się pokłuć, zastraszył dziobaka i przejął od niego sny. Zaczął je z czasem spisywać, czyli stworzył fantastykę, która zaopiekowała się zarówno poczuciem humoru, słowem jak i chaosem, czego dowody odnajdziecie w niniejszej książce.

Dziobakowi w tym miejscu dziękujemy. Tak trochę głupio wyszło...

Przeszło trzydzieści tekstów sprowadziliśmy do wspólnego mianownika, jakim jest dobry humor. Pomiędzy subtelne, pełnokrwiste opowiadania, gdzie dowcip kryje się głównie w dialogach, wcisnęły się przesiąknięte absurdem drabble, w których nie można przekroczyć przepisowych stu słów.

Okraszone poezją humoreski Ryszarda Machowskiego – niczym przystanki na literackim szlaku – pozwalają czytelnikowi odetchnąć od tej różnorodności form. W cały ten wesoły chaos wkradła się również bajka – instruktaż dla tatusiów, jak radzić sobie z nietrafiionymi prezentami.

„Transgeniczna mandarynka” jest naszym pierwszym projektem, zrodzonym z miłości do klawiatury. Jest także pamiątką z licznych konkursowych potyczek prowadzonych przez użytkowników portalu literackiego www.fantastyka.pl, gdzie sam dj Jajko obdziela nagrodami i rządzi.

Całość nabiera wyrazu dzięki niesamowitej grafice okładkowej i ilustracjom Grzegorza Wierchowskiego, któremu warto było dać wolną rękę.

Na sam koniec pragnę podziękować Ryszardowi, który wpadł na pomysł rozweselenia nas wszystkich, zebrał

teksty od trzynastki szczęśliwców i przekazał mi je wraz z zaufaniem, a ja wydawnictwu MORPHO, które zgodziło się zapaleńcom pomóc.

Zapraszam do lektury, do światów, gdzie nie leje się krew i nie giną bohaterowie!

Przynajmniej nie na poważnie...

Marek Zychla



Ryszard Machowski

Kluczyk

Motto:

*Zwierciadełko, pojmiij przecie
Pan małżonek hen we świecie.
Kluczem zelżył moje chuci
Przecz nie wiada, zali wróci.
Duszne żądze szarpią łonem
Dni żywota – policzone.
W pustym łożu noce zbywam
Kieby hubka bez krzesiwa...*

— Czemuście, panie, tacy markotni? Wszak wracamy z wyprawy krzyżowej, Bogu dziękować, szczęśliwie, z łupami i w dobrym zdrowiu — zapytał giermek jadącego obok grafa Eberharda.

Zjechali z głównego traktu na boczny gościniec prowadzący do włości feudała. Wyładowane wszelakim dobrem bryki trzęsły się na wykrotach. Okoliczne lasy, jak to przy jesieni, powoli traciły liście. Jedyne potężne jodły

Marek Zychla

Irlondzkie śniadanie

Kremowe osiedlowe domki mały w samochodowych lusterkach. Kierowca zwolnił przed rondem i zjechał z niego w stronę centrum miasteczka — wprost do serca malowniczego Callan tętniącego szczęśliwym życiem mieszkańców.

Zatrzymał się przed polskim sklepem. Wyłączył silnik, zegnając się z albumem „Back to Black” ukochanej Amy Winehouse. Na wystawowych reklamach „Polish Shop Galicja” zachęcał do skorzystania ze specjalnych ofert. Zbierano zamówienia na wielkanocne wypieki, białą kiełbasę i wiklinowe koszyczki. Zachęcano do zakupu odżywek i suplementów diety, a także rodzimych leków.

Jasne wnętrza z kolorowymi produktami ułożonymi równo na półkach zapraszało do wydania paru centów. Typowy mały sklepik w małym miasteczku, z małą kasą i jeszcze mniejszą liczbą kupujących. Znajdziesz go zawsze w długim cieniu supermarketów.

— Co słyhać w wielkim świecie? — zagadnął sprzedawczynię, mocując się z ciężkimi drzwiami, które zamknęły się za nim z niepokojącym trzaskiem.

Adam K. Burling

To się jeszcze okaże...

Pomysł na ostatnie opowiadanie przyszedł mi do głowy podczas przeglądania nieapetycznych resztek, walających się na półkach w lodówce. Zajęcie to, nie dość że z gruntu jałowe, gdyż nie mogące wspomnianych półek zapęłnić niczym jadalnym, było zapowiedzią pójścia spać z pustym żołądkiem. Poburczałem coś o napadzie sklerozy, westchnąłem, że lecznicze walory głodówek odkryto przed wiekami, że lenistwo zmusza do uwierzenia w powyższe, za nic bowiem w świecie nie zechce mi się drałowac przez pół miasta do nocnego sklepu... i wtedy zjawił się on, czyli pomysł. Zatarłem dłonie, trzasnąłem drzwiami lodówki, zrobiłem herbatę i jałem przekuwać myśli w kształt maszynopisu.

Tu należy wyjaśnić przyczynę, dla której tak szybko porzuciłem smutek rozważań przed pustą lodówką na rzecz upojnej radości tworzenia. Otóż miałem jeszcze cały tydzień, a zarazem już tylko, już zaledwie tydzień na brakujące do kompletu opowiadanie, i od przedwczoraj chodziłem jak struty, nie mogąc niczego, ale to niczego wymyślić. Skóra na mnie cierpła w przewidywaniu mąk

Marcin Kasica

Pięciu orgonoutów

Było ich pięciu. Pierwszy od prawej patrzył z boku na pozostałą czwórkę. Sprawiał wrażenie dowódcy oddziału.

— Widzisz coś? — zapytał najbliższego z towarzyszy.

— Jest ciemno, kompletnie nic nie widzę, ale mogę wskazać właściwy kierunek.

— Fuck you! — krzyknął niespodziewanie trzeci z nich.
Po czym dodał:

— Wybaczcie, wyrwało mi się. Z naturą nie wygrasz.

Czwarty odezwał się serdecznie.

— Kochani! Nie kłóćcie się. Działajmy wspólnie. Tylko wtedy nam się uda. Mały, masz coś?

Ostatni z nich był nikczemnego wzrostu. Teraz jego postura mogła okazać się atutem.

— Mam! — krzyknął.



Weronika szepnęła mi do ucha:

— Myślałam, że już nigdy nie poradzisz sobie z tym zapięciem stanika.

Marek Zychla

Transgeniczna mandarynka

Profesor Klara Łojterska nie miała końskiego zdrowia, ale za to końską twarz i zwierzęcy upór w trzymaniu się życia, które nieraz próbowało jej uciec, pozostawiając przy tym tylko nowe blizny, ginące w pomarszczonym ciele. Doktorat i habilitację uzyskała za czasów, gdy nikt nie bawił się w dodatkowe studia. Wystarczyło, że promotor przygarnął pod skrzydło i do serca przytulił. I tak parę razy w tygodniu, zazwyczaj w chłodne wieczory.

A dzisiaj liczyły się wyniki. Lizanie tyłków z merytorycznych przeniosło się w bardziej metaforyczne rejony. Nie zmienia to zniesmaczenia, ale odbiera wiele życiowej frajdy.

W uniwersyteckim kampusie urządziła się jak prawdziwa królowa, z własnym czajnikiem, mikroskopem, biblioteczkami pełnymi publikacji i pracownikami sekretariatu na posyłki. Gabinet wybrała sobie sama; zaraz po lewej stronie od zakładowych drzwi, naprzeciwko toalet, w dodatku jedyny na wydziale z podwójnym oknem. W tym wieku pewne szczegóły są niezmiernie ważne.

Ryszard Machowski

Krasnoludek

Motto:

*Jeśli tego bardzo chcecie,
Krasnoludki są na świecie...*

Krasnal pochylił się w progu, ale i tak zawadził czerwoną czapką o futrynę. Ośnieżoną brodę przytrzymywał dłońią, aby nie przytrzasnąć jej drzwiami. Pociągnął zsińniętym nosem, czując świąteczny zapach kaszy ze śliwkami i klusek z makiem. Usiadł w godnym kącie, zdjął krasną czapeczkę i strzepnął nią mokry śnieg z brody. Wyjął zza pasa służbowy topór i odłożył na bok. Przedtem nieznacznie sprawdził kciukiem, czy jest dostatecznie naostrzony. Sapnął niezadowolony. Wyciągnął zza cholewy lipową łyżkę, zzuł wysokie buty i zdjął onuce.

— Oj, zmarzłem ja, zmarzłem — stęknął. — Cholerny fach. Nie masz przypadkiem pod ręką osełki, gospodarzu?

Chłop siedział przy rozgrzanym piecu w samych gaciach i koszuli. Podrapał się po swych jedynych klejnotach

Anna Grzanek

Kotek

(drabble; stusłowiec)

Sprawiłem sobie kotka. Jestem gospodarzem i kotek był mi potrzebny tylko do łowienia myszy, bardzo go jednak pokochałem, a on mnie.

Rósł zaskakująco szybko. Wkrótce myszy, rezydujące dotąd w domu i stodole, zniknęły. Przepadły również gryzonie gnębiące sąsiadów. A kotek nieprzerwanie rósł. Bardzo mnie to cieszyło, podobnie jak to, że tak pięknie wypełnia swoje obowiązki. Wreszcie osiągnął rozmiary kuczka.

Gdy zabrakło myszy, zaczęły znikać okoliczne psy — najpierw małe, potem duże. Następnie cielaki, źrebięta, prosiaki, owce. Dziś we wsi nie ma już żadnych małych zwierząt.

Wczoraj... wczoraj zaginął synek sąsiada.

Bardzo kocham mojego kotka, ale czy on wystarczająco mocno kocha mnie...?

Rafał Piotrowicz

Wojna Puci

PROLOG

Ewa łamała wysuszone badyle. Przychodziło jej to z trudem, była zmęczona, niewyspana i głodna. Organizm domagał się odpoczynku i spokoju, zwłaszcza, że nosiła w sobie nowe życie. Brzuch, choć jeszcze niewielki, powoli zaczynał odznaczać się na tle wychudzonego ciała. Trzask oznajmił, że kolejny patyk uległ uporowi kobiety. Ewa wrzuciła połamane fragmenty do ogniska. Nie zwracała uwagi na pokalczone palce i kolana. Wizja ciepłego posiłku i strach przed utratą ognia sprawiły, że granice wytrzymałości przesunęły się daleko poza horyzont. Podniosła się powoli i rozejrzała.

W końcu! Na tle wypłowiałego morza traw, z którego wynurzały się gdzieś tam wysepki krzaków i pojedyncze drzewa, dojrzała zbliżającą się postać. Przyłożyła dłoń do czoła, zmrużyła powieki i znieruchomiała. Słabnący z wiekiem wzrok zatajał przed nią szczegółowe informacje, którymi kiedyś tak chętnie się dzielił. Dostrzegła jednak to, co chciała. Ślina wypełniła jej usta, a nagły przypływ energii pognał kobietę do przerwane go zajęcia.

Barbara Mikulska

Laleczko

— Mamooo, zobacz, co znalazłam!

— Co, kochanie?

— Laleczkę. Fajną. Rusza się i gada, choć nie mogę jej zrozumieć. Ale chyba ma kuku na nóżce.

— Ty przecież wiesz, co należy zrobić w takim przypadku, prawda? Jesteś dużą dziewczynką.

Wcale nie była duża. Każdy z jej rówieśników przerastał ją prawie o głowę, ale Maluta wiedziała, że matce chodzi o dorosłość, a nie wzrost.

— Mamo, ale ona szarpie się i krzyczy, kiedy próbuję opatrzyć ranę. Jemu. To chyba chłopczyk. Ma krótkie włosy i spodenki.

— Przecież jesteś silniejsza, skarbie! — Matka nawet nie odwróciła głowy, żeby spojrzeć, bo akurat wrzucała do wrzątku pyzy. — Przyciśnij leciutko, ale nie za mocno, żebyś nie popsowała i wtedy zajmij się opatrunkiem. A, pamiętaj też o odkażeniu rany. A później nakarm i połóż do łóżeczka.

— Dobrze, mamusiu.

Maluta postąpiła zgodnie z zaleceniami i bardzo

Marcin Kasica

Jaskier i Wiedźmin

CZYLI KRYZYS TWÓRCZY TRUBADURA

Jaskier przestał śpiewać i odłożył lutnię. Wiedźmin skrzywił się.

— Opowiadasz historię, w której aż roi się od nachalnej pornografii — powiedział. — Za mało w tym subtelności.

— Motłoch tego pragnie — ripostował bard. — Moje wszystkie zaangażowane teksty dawno szlag trafił, a rymy w stylu: „a on ją hyc, łapie za cyc”, gmin cytuje na każdej wiejskiej potańcówce. Dla artysty to gwarancja nieśmiertelności. Ja zdechnę zapomniany, chory na syfilis, a moje rymy zostaną w ludzkiej pamięci na wieki.

— Do dupy z taką sławą — zachnął się Geralt i podłożywszy pod głowę derkę, zamknął oczy. — Idę spać, a ty pracuj nad strofami swoich ballad. Jestem pewien, że nawet sprawy damsko-męskie można zamknąć w języku w sposób subtelny i nic nie stracić na ciężarze gatunkowym.

— Krytyk literacki się znalazł — mruknął pod nosem obrażony trubadur. — Jak jesteś taki cwaniak, to sam coś wymyśl. Łby wiwernom odrąbuje bez mrugnięcia okiem,

Anna Brzeska

O zmienności wszechrzeczy

Heraklit oparł podbródek na kamieniu. Zdawało mu się, że leniwie płynąca rzeka wiruje i płynie w górę ku zielonym brzegom, zaś te falują niczym woda. Płynąca płynie?

Filozof i tym razem nie zachował umiaru w rozkoszowaniu się napojem Bachusa.

Nie minęło kilka chwil, gdy po raz kolejny wyrzucił ze znękanych wnętrzności to, co jeszcze w nich zostało, po czym znów spojrzął zmęczonym wzrokiem w głęboką toń. Widział strawione resztki różnorakich mięs i kilku gatunków owoców, smętnie unoszące się teraz na powierzchni wody. Jakże inaczej wyglądało to, co tak niedawno stanowiło cieszące oczy kąski. Heraklit był wyraźnie skrzępowany faktem, że nadal nie poszły one na dno i świat wciąż widzi owoce jego upodlenia.

— Wszystko płynie — wyszeptał ze wstydem i ukrył twarz w dłoniach.

Jego wierny uczeń, podążający za filozofem krok w krok, a teraz ukryty za pobliskim krzakiem, skwapliwie zanotował słowa mistrza.

Grafomania to chorobliwy przymus pisania tekstów literackich, pomimo ewidentnego braku chętnych do ich przeczytania.

Zobaczcie, co się dzieje, gdy mierzą się z nią utalentowani twórcy.

[GRAFOMANIA]

Robert Skibicki

Wściekłe zombie

ROZDZIAŁ PIERWSZY — SZCZAŁY Z DACHU

Kapitan Rape Victim był dobrym komandosem, może nawet najlepszym. Wychowały go ulice Brooklynu, do których często uciekał z domu dziecka, gdyż był sierotą i koledzy brechtali się z jego dziwnego nazwiska. Od dziecka nauczył się sztuk walki i przetrwania. Nie wyszedł na złą drogę, bo był prawiczkim i gangsterzy go nie pociągali. Jak dorósł, to poszedł do wojska i odkryli jego różne talenty, co je podobno odziedziczył po dziadku, który walczył dawno temu w wojnie między Południowcami a Północnikami. Szybko został komandosem w Delta Force, bo był dobry we wszystkim. Był strzelcem wyborowym, specjalistą od wybuchów, znał się na broniach, umiał judo i karate, był pilotem, w Wietnamie i w Korei.

Będąc był w Afganistanie, jacyś bandyci zgwałcili i zabili mu żonę i córkę, spalili razem z domem. Nie mógł sobie wybaczyć, że im nie pomógł. Po tym wszystkim zamknął się w sobie i nikogo nie wpuszczał. Zaczął pić dużo wódki i alkoholu. Stoczył się z samego dna.

Agnieszka Osikowicz

Dobro złam zwyciężo!

W kraju rządzonym przez złą królową działo się bardzo źle. Był to kraj uprzednio mlekiem i miodem opływający, ale odkąd nastąpiły tam rządy złej królowej, mleka i miodu już w ogóle nie było, bo wszystkie krowy i pszczoły, jak i inna zwierzyna, sparaliżowane niemocą powstałą ze względu na nienawiść promieniującą ze złej królowej, przestały nosić i nic już nie dawały. Było już tak beznadziejnie, że nadziei nie było widać nawet z bocianiego gniazda na wieży zamkowej, z którego sokolim okiem wypatrywali jej wszyscy ci, którzy nie zapomnieli wciąż, co znaczy szlachetność, dobroć i prawicowość.

Mrok wydawał się nadpływać ze stron wszelakich, zaptapiał ludzkie serca i mózgi, przemieniał je w bezwolną i cuchnącą melasę podobną do pomrocznych bagnisk panujących w samym środku rządzonego przez złą królową królestwa, która to królowa chciała swój kraj do owych bagnisk przemienić i uczynić go na ich podobieństwo, a potem zatopić je tam właśnie w tych bagniskach razem ze wszystkim swoim ludem i inwentarzem.

Tylko po co? — głowiły się ludziska i kręciły głowami,

Adam Dzik

Krzywo optyka

Divius wyłączył hybrydowo-benzynowy silnik i wyszedł z niego, kapiąc potem. Na zewnątrz temperatura wcale nie była niższa, nawet pomimo chodzącej w samochodzie klimatyzacji.

Mimo iż oddalił się od niebezpieczeństwa, wcale nie był bezpieczny. Dlatego pogłaskał pistolet glocka i ruszył w kierunku drzwi prowadzących do karczmy. W oberży kryli się pewnie kosmici, ewentualnie stała aktualnie pułta. Divius jednak był człowiekiem z przejściami, można rzec z żelaza, więc dobrze wiedział, że lepiej zakładać to pierwsze.

W powietrzu unosił się dziwny odór, trochę słodki, trochę kwaśny. Divius zatkał nos z ustami jedną ręką, podczas gdy drugą uchylił zbesztane posoką wrota. Te cicho zajęczały, ale dzięki ich ruchowi Divius mógł ocenić, że brak potencjalnego niebezpieczeństwa. Przynajmniej na pierwszy rzut okiem.

— Halo?!? — krzykno-zapytał. — Jest tam kto?

Ale odpowiedziało mu tylko głucho echo.

Okazało się, że za kontuarem siedzi przykucnięta

Anna Brzeska

Blunk i Skimpie

Dwa małe trolle bawiły się kamykami. Usiłowały trafić tymi mniejszymi w największy, leżący w odległości kilku kroków od miejsca, z którego rzucały. Nie było to łatwe, gdyż mrok podziemi rozjaśniały jedynie niktłe światła pochodzące z daleka. Małe trolle nie wiedziały skąd. Lecz jeden z nich osiągnął już wiek, w którym pod czaszką zaczynają kiełkować Ważne Pytania. W pewnej chwili, zamiast rzucać dalej, podniósł głowę i zapatrzył się w odległą poświatę.

Mniejszy spojrział na niego zniecierpliwiony i zapytał:

— Dlaczego nie rzucasz, Blunk?

— Wiesz, Skimpie, myślę. Ciekawe, co tam jest — rzekł wolno starszy troll.

— Gdzie? — zainteresował się mały.

— No tam, głupku! Tam, dokąd zawsze zmierza Potwór! — Blunk wyciągnął kosmatą łapkę przed siebie, gromiąc Skimpiego wzrokiem. — Światła widzisz?

— No widzę i co? — Mały zrobił obrażoną minę.

— Nic. Ciekawe, co tam jest — wyjaśnił Blunk.

Darek Wędrychowski

Błędy młodości

Poranek zapowiadał się zwyczajnie. Od samego świtu robota, ciężka i w zasadzie nikomu niepotrzebna. Ale z biegiem lat przestałem na nią narzekać, w czasach kryzysu nie hańbi nawet najlichsze zajęcie. Określenie „grecka tragedia” nabrało ostatnio zupełnie nowego znaczenia. Na razie jednak korzystałem z życia, czekając w parku na pierwsze promienie słońca. Szklaneczka na dobry początek dnia, coś do przegryzienia i najważniejsze — ciekawe towarzystwo. Sączyć ouzo w samotności? To by było wbrew wszelkim helleńskim tradycjom.

Mocny, anyżkowy zapach z wyczuwalnymi nutami kardamonu i imbiru niezawodnie przyciągał rozmaitych oryginałów. Zawsze z zaciekawieniem słuchałem ich historii — takie życiowe opowieści bywają barwniejsze niż najlepsza książka. Tym razem jednak trafił mi się prawdziwy rarytas. Przedstawił się jako Prometeusz. Imię brzmiało podejrzanie znajomo, ale jego właściciel okazał się dobrym kompanem. Ledwo poprosiłem o ogień, a od razu uśmiechnął się szeroko, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Taki, rzekłbym, anatomiczny typ faceta, co to

Marek Hołub

Kusiciel

CZYLI POCZĄTKI ZŁA

Elegancko ubrany mężczyzna przemierzał szybkim krokiem długi korytarz. Energicznie otworzył wielkie, hebanowe, zdobione złotem drzwi i jeszcze w progu powiedział:

— Witaj, Michale! Jestem pod wrażeniem energii, która emanuje od ciebie. Zawsze, gdy tu wchodzę, mam dreszcze.

— Cześć, bracie. Czuję, że jak zwykle przychodzisz z jakimś interesem — odparł sympatycznie wyglądający urzędnik wstając zza biurka.

— Oj tam, zaraz interes. Wieści przynoszę. Coś się zaczęło dziać. — Przybysz z rozmachem usiadł na wygodnym fotelu przy stoliku kawowym.

— Wieści? Jakie? — gospodarz z zaciekawioną miną zajął drugi fotel.

— Na pewno już wiesz, że kreacja zakończona. Stwórca przeszedł od ogółu do szczegółu. A nas chce sprowadzić do roli niańki — gość zaczął się wyraźnie irytować. — Po takiej harowie zamiast nagrody otrzymujemy degradację.

— Lucjuszu, czy ty aby nie przesadzasz? — Michał z troską popatrzył na brata.

Marek Zychla	Wstęp	7
Ryszard Machowski	Kluczyk	11
Marek Zychla	Irlandzkie śniadanie	19
Adam K. Burling	To się jeszcze okaże...	41
Marcin Kostco	Pięciu argonautów	67
Marek Zychla	Transgenicznie mandarynka	69
Ryszard Machowski	Krosnoludek	91
Anno Grzanek	Kotek	93
Rafał Piotrowicz	Wojna Puci	95
Ryszard Machowski	Towarzystwie standardy	121
Barbara Mikulska	Loleczka	125
Marek Zychla	List do M.	129
Ryszard Machowski	Homeostat	135
Barbara Mikulska	Sodyjstka	139
Marek Zychla	Odważny Tedzik i Skorpicio z Galepacos	143
Ryszard Machowski	Drobino	153
Barbara Mikulska	Jaskier i Władźmin	161
Marek Zychla	O zmienności wszechrzeczy	163
Ryszard Machowski	Błąd w rozumowaniu	165
Marcin Kostco	Wściekłe zombie	167
Agnieszka Ostikowicz	Dobro złem zwyciężaj...	171

Adam Dzik	Krzywa optyka	177
Ryszard Machowski	Dom spokojnej starości	181
Barbara Mikulska	Dieta	185
Ryszard Machowski	Kofo	193
Marcin Kasica	Błazen królewski	197
Anna Brzeska	Blunk i Skimpie	199
Anna Brzeska	Blunk i Skimpie	201
Darek Wędrychowski	Błędy młodości	205
Ryszard Machowski	Kłopoty firmy ubezpieczeniowej	213
Barbara Mikulska	Sałata	221
Marek Hołub	Kusiciel	225
Ryszard Machowski	Brok porozumienia	231
Marcin Kasica	Utopiec	233
Ryszard Machowski	Marsjańsko tojennica	237
Marek Zychła	Nie zabija się dziadka	241